TYGODNIOWY
PRZEGLĄD LITERACKI
KOŁA • PISARZY • Z • POLSKI

Rok II. Nr.27 /35/ 151 East 67 Street,New York,N.Y. 2.VII.1942

Rapsod jugosłowiański.

Dziesięć lat mija właśnie od owego skwarnego czerwca, kiedy płynąłem wzdłuż fantastycznie pięknego, tysiąc kilometrów długiego pobrzeża Chorwacji i Dalmacji. Okręt jugosłowiański, na którym odbywałem tę podróż, nie był okrętem uchodźców, a na jego życie nie czyhały podwodne łodzie ani miny. Był to statek turystyczny, urodziwy, biały jak suknia szczęśliwej panny młodej, a cała ta podróż była weselem serca. Nazywał się: "Prestolonaslednik Petar", czyli po polsku: "Następca tronu Piotr". W eleganckiej klatce schodowej tego "parobrodu" wisiał na honorowem miejscu portret młodziutkiego królewicza, ku którego czci ochrzczony był ten statek, należący do towarzystwa "Jadranska Plovidba". Jadran - to serbochorwacka nazwa Adriatyku. Królewicz na portrecie, w białem, marynarskiem ubranku uśmiechał się dziecinnie, ufnie i spoglądał na nas swemi gorącemi, czarnemi oczyma. Nie był jeszcze wówczas sierotą.

Napełniony radosną beztroską kilkuset pasażerów, "Prestolonaslednik Petar" spokojnie pruł spokojne, jakby naoliwione złotem fale Jadranu. Ostrożnie wymijał gęsto rozsiane, skaliste, rozprażone do białości wysepki, nocami morze fosforyzowało, niekiedy podchodziły pod statek - delfiny. Spokojni byli ludzie na trzech pokładach, jakaś wycieczka młodzieży szkolnej śpiewała przepiękne pieśni. Statek zdawał się unosić nas ku jakimś wyspom szczęśliwości.

Któż z tych turystów przeczuwał wówczas nadciągającą katastrofę? Któż mógł wówczas przewidzieć, iż uśmiechnięty na portrecie królewicz Piotr tak rychło zostanie królem, osierocony na skutek marsylijskiej zbrodni? I że ta zbrodnia będzie przygrywką do wielkiej tragedii jego uśmiechniętego, rozsłonecznionego kraju? Ale chyba napewno żaden z pasażerów "Prestolonaslednika Petra", patrząc na portret następcy tronu Kraljeviny Jugoslaviji nie pomyślał, iż w tak krótkim czasie temu książątku właśnie przypadnie rola kontynuatora wielkiego rapsodu bohaterskiego, rapsodu snującego się słowem, krwią i pieśnią poprzez wieki aż po

dziś dzień! Że w tym grzecznym chłopczyku w białym ubranku obudzi się jeszcze przed pełnoletnością duch wojowników z Kossowego Pola, tradycja czetników, towarzyszów Agi Smail Czengicza?

Oto dzięki temu młodziutkiemu monarsze w naszych oczach pisze się dalszy ciąg owych, jedynych w nowoczesnej Europie pieśni, krwawych pieśni, co wylęgły się w skalnych gniazdach i nadmorskich pustaciach.

Wspomnieniem owej podróży z przed lat dziesięciu i wspomnieniem wielkiej pieśni Serbów i Czarnogórców pozdrówmy króla Piotra II na wolnej ziemi amerykańskiej, która i nam, Polakom, użyczyła swej gościny.

Ta pieśń, zawarta w wielu księgach, ale śpiewana również po kafanach Serbii, Chorwacji, Baczki i Bośni, przy wtórze guzli, przekazywana z ojca na syna, i rosnąca w miarę jak czas się posuwa i nawarstwia wydarzenia, stanowiła przedmiot zachwytu największych poetów świata. Zachwycał się nią Mickiewicz i Herder, Goethe i Mérimée. Twórcy tych rapsodów, znani i anonimowi, uczeni i niepiśmienni - to jedyni homery - dzi czasów nowożytnych. Mickiewicz, w swych wykładach paryskich nie szczędzi entuzjazmu dla "Wesela Maksyma Zrnojewicza", dla "Pieśni o królewiczu Marku", dla poety serbskiego Milutynowicza, autora "Obilicz", w którym to utworze dopatruje się pokrewieństwa z "Nieboską Komedią".

A dziś, gdy słuchamy nieprawdopodobnie brzmiących wieści o czynach generała Michajłowicza i jego czetników, czy nie słyszymy w tych krwawych relacjach rytmu rapsodów jugosłowiańskich, z dawnych wieków? Generał Draga Michajłowicz i jego drużyna wydają nam się bohaterami na miarę poematów Byrona. W partyzantce serbskiej, w walkach czetników jest niewątpliwie coś anachronicznego. Ale nie zapominajmy o tem, że tam, gdzie istnieje żywa i długa tradycja, tam zawsze dziać się będą rzeczy anachroniczne.

Kto wie, czy właśnie ten anachronizm, ten opór człowieka stawiany zmechanizowanej zagładzie i zmotoryzowanej śmierci, nie przezwycięży tej zagłady i tej śmierci? Taktyka bojowa czetników serbskich wywodzi się nie z koszarowego drylu, lecz z pieśni bohaterskiej, która to pieśń wylewa się razem z krwią pomordowanych bojowników.

Rapsod jugosłowiański ciągnie się przez wieki, a każdy wiek wzmacnia jego rytm, dodając nowe strofy do starych.

Nie wiem, jaki los spotkał w tej wojnie statek, który dziesięć lat temu szczycił się imieniem dzisiejszego króla Piotra II. Kto na nim dziś płynie, dokąd i w jakich zamiarach. Jeżeli jeszcze istnieje i odbywa rejsy pod zmienioną przez najeźdźcę nazwą, z pewnością nie wozi po Jadranie ludzi szczęśliwych i spokojnych. Jeśli go uratowano i służy Narodom Zjednoczonym - chwała mu. A jeśli go już nie ma na powierzchni wolnych wód - pokój jego pamięci.

Z całym narodem polskim pragniemy gorąco, aby dzień ów nie był daleki, kiedy wierny bohaterskiej epopei swego narodu, król Piotr II, szczęśliwie wróci na ziemię ojców, choćby na pokładzie kanonierki, płynącej po wolnym Jadranie pod trójkolorową banderą Kraljeviny Jugoslaviji. Živio!

Józef Wittlin

W rocznicę Paderewskiego. x/

Z dalekiego kraju, w którym Ignacy Paderewski dokonał swego najbardziej historycznego czynu wiążąc słowo i siłę Ameryki ze sprawą niepodległości i zjednoczenia Polski, z kraju, w którym leżą jego prochy, czekając powrotu do uwolnionej ojczyzny , łączymy się z rodakami, któ - rzy w milczeniu i tajemnicy święcą pierwszą rocznicę jego śmierci.

Rok upłyniony od dnia kiedy Ignacy Paderewski z oczyma utkwio - nymi w daleki obraz ojczystego kraju zmarł zdala od niego, jak zdala od niego marli przywódcy i wieszcze Wielkiej Emigracji, rok ten właśnie ukazał nam całą wagę historycznej zasługi Paderewskiego, całą istotność, całą aktualność tego dzieła, którego pragnął dokonać prezydent Wilson i w którym płomienny zapał i patriotyzm Paderewskiego tak wielką odegrały rolę.

Bo oto po raz drugi na przestrzeni jakże krótkiego czasu tu do Stanów Zjednoczonych idą myśli i pragnienia wszystkich ludzi wolnych, wszystkich walczących o sprawiedliwość narodów; jak kiedyś ku prezydentowi Wilsonowi dziś ku jego wielkiemu następcy kieruje swój wzrok świat, spragniony wolności i ufny, że stąd właśnie ma przyjść nagroda za bohaterstwo, koniec cierpień i kara za zbrodnie.

Cały świat wie też dobrze, że tutaj przedewszystkiem szlachetne i wielkie słowa nie pokrywają żadnych ubocznych myśli, że znaczą to właśnie, czego w ich brzmieniu dosłuchują się ci, którzy cierpią i walczą.

Paderewski, który ze wszystkich naszych wielkich mężów znał niewątpliwie najlepiej szeroki świat i wnosił nieraz do polityki bezcenny dar artystycznej niemal wizji pierwszy odczuł ten bezkompromisowy prosty idealizm, to czujne sumienie zbiorowe, któremi w wielkich chwilach nieomylnie kieruje się demokracja amerykańska i które symbolizują jej wielcy przywódcy, wiedząc, że tutaj sumienia nie są grzechami historii ob - ciążone, myśli nie są uwikłane w żadne polityczne dwuznaczności i że serca czują poprostu, wierzył że stąd przedewszystkiem iść będzie wiara w sprawiedliwość, w lepszy świat i nietylko wiara, ale i siła, aby je wywalczyć.

Tej prawdy o Ameryce, w której było jakby przeczucie, że rola jej w historii Polski nie skończyła się w Wersalu uczył Paderewski nasz naród, tej prawdzie postawił trwałe pomniki w bronzowych statuach prezydenta Wilsona i pułkownika Housa w Poznaniu i w Warszawie.

I jeśli dziś nie zostało po nich śladu, to miejsca nawet na których stały mówią, że Ameryka przyjdzie do Europy w całej miażdżącej potędze swej broni i że co zostało zburzone w Polsce, wzniesie się z gruzów i z ruin powstanie nowe życie.

Wtedy myśląc o tem, jak po śmierci nawet plonowała wielka zasługa Paderewskiego, z tem większą wdzięcznością czcić będziemy pamięć tego, o którym Camille Saint-Saens powiedział, że był to wielki człowiek, który przypadkiem był też wielkim artystą.

Powiedzieć o nim, że był największym artystą naszej epoki, kompozytorem rzadkiego talentu, wspaniałym mówcą, którego przemowy w jakimkolwiek wypowiedziane byłyby języku zawsze były arcydziełem, wspominać

---

x/ Przemówienie wygłoszone do kraju z Nowego Jorku 30 czerwca.

jego legendarną wielkoduszność i ofiarność - wszystko to będzie tylko część prawdy o tym wyjątkowym, wspaniałym istnieniu.

Paderewski bowiem był ostatnim i w naszej epoce bodaj jedynym człowiekiem, który jak wielcy ludzie Renesansu interesował się wszyst - kiem, rozumiał wszystko i który wszystko co robił, co myślał i mówił znaczył nieporównanym urokiem i znamieniem wielkości. Myśląc o nim trudno było nie myśleć o czasach Leonarda, o owej wspaniałej epoce, kiedy ludzkość znajdowała swój symbol w wielkich myślicielach i artystach.

Był on wielkim artystą i od czasu Liszta świat nie znał nikogo, któryby mógł równać się z nim jako urok, jako dar przemawiania do serc i jako tajemnica budzenia zachwytu.

I wystarczyło nieraz, aby Paderewski pojawił się na estradzie ze swoim dalekim spojrzeniem, lwią czupryną, w swoim legendarnym białym krawacie, w postawie skromnej, prawie pokornej, raczej jakiegoś barda wiejskiego aniżeli wielkiego wirtuoza, a publiczność wstawała z miejsc czcząc w nim sztukę samą, wszystko, co jest w życiu bezinteresowne, szlachetne, wspaniałomyślne a co w myśli każdego łączyło się w Paderewskim.

Jego gwiazda wzeszła w tych smutnych czasach, gdy nie było Polski na karcie Europy; był on biednym synem nieszczęśliwego kraju i nie miał za sobą ani pysznych ambasad ani możnych protektorów, którzyby popierali jego sztukę.

Ale Paderewski czuł duszę Szopena w swej duszy, wsłuchany w głos swego serca znalazł w nim echa tysiąca lat pięknej, wspaniałomyślnej naszej historii; nasi bohaterscy przodkowie, nasze stare legendy, nasz krajobraz, jakże piękny choć tak surowy, wszystko to mówiło do niego, zwierzając mu swe sekrety.

I Paderewski, słuchając tych tajemniczych głosów, poczuł że jest bogaty i silny. Od pierwszego pojawienia się swego na horyzoncie sztuki zachowywał się jak król; nigdy nie poprosiwszy o nic nikogo chciał on zawsze obdarzać wszystkich i całe jego życie było wypełnieniem tego pragnienia.

Nic dziwnego więc, że był on towarzyszem królów i tych wielkich ludzi, którzy żyli dla lepszego jutra ludzkości i którzy jak prezydent Wilson, król Belgów Albert i Jerzy Clemenceau i marszałek Foch darzyli go zaufaniem i szukali oparcia w jego myśli, w jego sercu.

W epoce małostkowości i egoizmu jego gesty królewskie, jego wspaniałomyślność budziły podziw i zdumienie świata, który przyzwyczajony do poziomych kaprysów sław przemijających poraz pierwszy widział wielkiego artystę, poświęcającego tyle dla wspomagania młodych artystów, biednych artystów, czy poprostu biednych, ofiarowującego cały swój majątek dla ulżenia nędzy.

Nikt świetniej od Paderewskiego nie przedstawiał w oczach świata prawdziwej Polski, tej która nigdy nie oddzielała sprawy swojej od sprawy powszechnej wolności; pianista wirtuoz Paderewski miał w sobie coś z tej duszy patetycznej, dzięki której Mickiewicz stał się prorokiem wolności i wodzem narodu; wierny potomek romantyzmu, dziedzic Szopena i wielkich naszych poetów jak oni karmił on swą sztukę krwią naszego narodu.

Doznawszy w życiu wszystkiego, od królewskiego przepychu i dumnej rozkoszy wypełnionego obowiązku, do najsamotniejszej żałoby, widział u schyłku swoich dni raz jeszcze Polskę zniszczoną i nie było cierpienia sprawionego w naszej ojczyźnie przez tą straszną wojnę, któreby nie krwawiło jego serca. Zmuszony przeżyć klęskę drogiej mu Francji, jako umierający starzec uchodził z zalanej przez barbarzyńców Europy i umarł

jego legendarną wielkoduszność i ofiarność - wszystko to budziło wyjątkowe prawdy o tym wyjątkowym, wspaniałym artyście.

Paderewski bowiem był ostatnim i w naszej epoce bodaj jedynym człowiekiem, który jak wielcy ludzie Renesansu interesował się wszystkiem, rozumiał wszystko i który wszystko co robił, co myślał i czuł przeżył niepospolitym uczuciem i znamieniem wielkości. Myśląc o nim trzeba było nie myśleć o czasach Leonarda, o owej wspaniałej epoce, kiedy ludzkość znajdowała swój symbol w wielkich myślicielach i artystach.

Był on wielkim artystą i od czasu Liszta świat nie znał nikogo, któryby mógł równać się z nim jako urok, jako dar przemawiania do serc i jako bezgraniczne budzenie zachwytu.

I wystarczyło nieraz, aby Paderewski pojawił się na estradzie ze swoim dalekim spojrzeniem, lwią czupryną, w aurze legendarnej białej krawatce, w surducie ciemnej, prawie pokornej, rzeczy jak jego sława widzących go nazwać wielkiego wirtuoza, a publiczność wstawała z miejsc czcząc w nim sztukę samą, wszystko, co jest w życiu bezinteresowne, szlachetne, wspaniałomyślne a co w myśli każdego łączyło się w Paderewskim.

Jego geniusz wzrastał w tych smutnych czasach, gdy nie było Polski na karcie Europy; był on bowiem synem nieszczęśliwego kraju i nie miał za sobą ani potężnych armat ani możnych protektorów, którzyby popierali jego sztukę.

Ale Paderewski czuł duszę Szopena w swej duszy, wskrzeszał w grze swego serca znalazł w nim echa tęsknot tak płynnej, wspaniałomyślnej naszej historii: cześć bohaterskich przodków, nasze stare legendy, nasz krajobraz, tak piękny choć tak surowy, wszystko to wołało do niego, zaświadczając mu swe dzieje.

I Paderewski, pomimo tych najgłębszych zasług, pozostał jak jest bogaty i dziki. Od pierwszego pojawienia się swego na horyzoncie świata zachowywał się jak król: nigdy nie poprosiwszy o nic nikogo wiedział on zawsze obdarzać wszystkich i całe jego życie było wypełnione tego pragnieniem.

Nic dziwnego więc, że był on towarzyszem królów i mężów wielkich ludzi, którzy żyli dla lepszego jutra ludzkości i którzy jak prezydent Wilson, król Belgów Albert i Jerzy Clemenceau i marszałek Foch dzielili go zaufaniem i szukali oparcia w jego myśli, w jego sercu.

W epoce małostkowości i egoizmu jego gesty królewskie, jego wspaniałomyślność budziły podziw i zdumienie świata, który przyzwyczajony do pozłotowych kaprysów ludzi przemijających ponad pieniędzy wielkie wielkiego artysty, poświęcającego życie dla wspomagania młodych artystów, biednych artystów, czy podrzutków biednych, ofiarowującego cały swój majątek dla wyżywienia nędzy.

Nikt świetniej od Paderewskiego nie przedstawiał w oczach świata prawdziwej Polski, tej która nigdy nie oddzielała sprawy swojej od sprawy powszechnej wolności; tej piewca wiecznej [illegible] Paderewski miał w sobie coś z tej duszy patetycznej, dzięki której Mickiewicz stał się prorokiem wolności i wodzem narodu; wierny potomek romantyzmu, dziedzic Szopena i wielkich poetów jak oni żarliwie on swą sztukę [illegible] naszego narodu.

Pamiętamy w życiu wszystkiego, od królewskiego przyjęcia i [illegible] nej [illegible] wyjątkowego obowiązku, do najdrobniejszej swej osoby, widząc i [illegible] świata Polskę znieważoną i nie [illegible] w naszej ojczyźnie przez tą straszną wojnę, który nie [illegible] jego serca. Zmuszony [illegible] drogi do Ameryki, jako [illegible] z niewoli przez barbarzyńców Europy i umarł

daleko, jak pielgrzym swego narodu.

Do końca żył wiarą w Boską sprawiedliwość, entuzjazmem do naszego narodu, miłością dla polskiego wojska i ile razy przemawiał do nas i do obcych, czynił to zawsze po to, aby głosić prawdę i nawoływać do zgody.

Naród polski w swej miłości i przez swoje cierpienia uczynił już na wieki zgodę między Ignacym Paderewskim i Józefem Piłsudskim, zgodę, która nie zawsze była i nie zawsze pewno mogła być między nimi za życia.

W świetle dobywającym się, z męczeńskiej próby naszego narodu, ukazującym nieomylnie co jest prawdziwe, wielkie, szlachetne łączy się w jedno, to co było nieraz wrogie sobie, czy sprzeczne a co biło z tak samo czystych twórczych źródeł.

I zarówno jak przykład wielkich założycieli naszej ojczyzny, wielkich bohaterów i mężów odległej przeszłości - surowy, wspaniały geniusz Piłsudskiego i porywający płomienny patriotyzm Paderewskiego świecą nad nami czystym, zgodnym blaskiem.

Jan Lechoń

M o r d e r s t w o p o s p o l i t e .

Dziwnym zbiegiem okoliczności siedziałem właśnie nad "Breweriami" Boya, które pożyczyłem dzień temu w Public Library przy Tomkins Square, gdy żona powróciła z miasta z tragiczną wiadomością, że Niemcy zamordowali Boya.

Pierwszą, natychmiastową reakcją było pytanie "Za co?!" i powracało ono przez cały wieczór uparcie, nieprzerwanie, ciążyło nad nami jak upiorna zagadka, dręczyło i niepokoiło brakiem logicznej odpowiedzi, nie dawało mówić o niczem innem. Jak na ironię leżała przed nami książka radosnego mędrca, otwarta na stronie, w której spowiadał się ze swego stosunku do literatury i jej zadań:

"... w tym uśmiechu francuskim rozkochałem się przed laty, a cała ta moja praca miała instynktownie jedną przewodnią myśl: objaśnić, wytłómaczyć ten uśmiech. Wściekało mnie, że go nie rozumieją. Albowiem wieki całe nieprzerwanej, genialnej pracy i kultury myśli kryją się poza tym uśmiechem. Trzeba było zdeptać wszystkie ścieżki ducha, aby skrót mądrości pokoleń nauczyć się podawać w żartobliwej formie. Trzeba było mieć Kartezjusza i Paskala i Monteskjusza, aby wydać bodaj Caillaveta i Flersa. Rozbawiona pustota najuczeńszego człowieka swojej epoki, Rabelego, niedarmo jest kolebką literatury francuskiej.

Ileż zresztą odwagi, ileż heroizmu bywało w tym uśmiechu! Z piosenką, z żartem na ustach, przez parę wieków idzie duch francuski naprzód przed całym światem, niosąc mu światło, wolność i wdzięk życia, tak jak w ostatniej wojnie, śpiewając płochą Madelon, trwali żołnierze francuscy w bohaterskim oporze lub biegli do zwycięstwa. Ze śmiechem Rabelais naraża się na stos, aby swemi zuchwałemi żartami wywalczać tolerancję religijną; śmiechem obronił przyszłe pokolenie Molier od tego, by je świętoszek gnębił, filozof ogłupiał, a lekarz zabijał; śmiechem Pascal w Prowincjałkach oczyścił religię, śmiechem wreszcie wstrząsnię-

to murami Bastylii i śmiechem dano hasło do ich zburzenia. Bez tego francuskiego śmiechu źleby się działo na świecie!"

I rzeczywiście, gdy zbrakło tego uśmiechu francuskiego, dziś upadłego do patetycznych nizin kompromisu pełnego melancholii, tego uśmiechu, którego był najświetniejszym polskim ambasadorem - zbrakło i Boya. Kula czy pałka niemiecka, która dobiła 68-letniego bezbronnego starca, zamyka pewien etap w naszej literaturze, etap swoisty i samorodny, zaczęty eteryczną piosenką "Zielonego Balonika", prowadzony konsekwentnie przez pięć wieków i sto tomów arcydzieł literatury francuskiej, przyswojonej Polsce na zawsze, żywą, wspaniałą w swojej bujności kronikę ćwierćwiecza polskiego teatru i setkę szkiców i essayów, w których wdzięk propagował filozofię życia a dowcip konieczność reform socjal - nych i obyczajowych. Boy stał się szkołą i kierunkiem na kilku równoległych sobie polach piśmiennictwa i nauki. Pod jego niewidocznym a elektryzującym wpływem kształtował Słonimski linię i styl swych satyrycznych felietonów i "Kronik", "Marysieńka" wycisnęła niezatarte piętno na "Niemcewiczu" Zbyszewskiego a poeta Lechoń, który wykładami o literaturze polskiej na paryskim uniwersytecie emigracyjnym dał się poznać jako niezrównany pedagog, dorównujący głębią erudycji wielkiej szkole krakowskiej a ujęciem gawęd najlepszym essayistom francuskim, zapewne wiele zawdzięcza nietylko Brücknerowi i Chrzanowskiemu - ale i Boyowi. Jeżeli idzie o dziedzinę teatru Boy wraz z Rabskim nauczyli autorów pisać a recenzentów patrzeć - w piosence i satyrze. Boy staje się wzorem dla Tuwima, Hemara, Paczkowskiego, Nowickiego i wielu, wielu innych.

Najbardziej jednak uderza w wielo-aspektowości Boya jako pisarza jego par excellence uczciwy humanizm i kult postępu, który "lekarza mimo woli" skłonił do studiów nad literaturą francuską i w efekcie dał Polsce zgórą stu-tomowy przegląd myśli filozoficznej i literatury od XV wieku do dnia dzisiejszego narodu, przodującego Europie przez stulecia rewolucyjnym duchem tego właśnie postępu. Przebogatą galerię od Rabelais'go do Prousta, Moliera i Beaumarchais przy Kartezjuszu i Pascalu, Montesquieu i Voltaire'a, Balzaca, Stendhala i Brantome'a, paradoksalne antytezy ale paradoksalnością swą obrazujące idealną krzywą francuskiej walki z ciemnotą, wzloty i upadki jednego królestwa i trzech republik, dni i epoki życia, podwórza poetów - żebraków, dwory Ludwików i krzyk tłumów na ruinach Bastylii, menuety polityczne pudrowanych peruk prozę przedmieść i atmosferę salonów literackich XIX wieku - to wszystko nam podarował Boy gestem królewskim w swojej skromności, pracą całego życia, benedyktyńskich dni i nocy spędzonych nad spuścizną tych, co odeszli ale zawsze są między nami potęgą myśli i geniuszu.

".... mogę z przyjemnością powiedzieć" - pisze Poy - "że zamiar mi się udał. Szereg pisarzy, wprzód znanych w Polsce zaledwie z nazwiska, stał się tysiącom ludzi poufałemi przyjaciółmi. Znam dziś w Polsce zastęp entuzjastów i czytelników Moliera, Montaigne'a, Rabelego, Balzaka i td. Wielka literatura francuska stała się czemś bliskiem i znanem: może nam poniekąd zastąpić naszych klasyków, których właściwie nie mamy, bo nasza żywa literatura zaczyna się dla nas naprawdę dopiero od naszej wspaniałej poezji romantycznej:"

Zato go zabito. Bo Boy nie był ani młodym bojowcem ani sądzonym według prawa wojennego szefem wolnościowej irredenty. W ciszy murów uniwersytetu krakowskiego kontynuował pracę, rozpoczętą ćwierć wieku temu w dyżurnej izdebce wojskowego lekarza c.k."twierdzy Kraków". Pracę nad myślą i postępem. Dlatego okoliczności, towarzyszące jego śmierci zdefiniować można jako morderstwo pospolite. Chciano zabić polską myśl.

Jerzy Tępa

Podstępy.

/Niedrukowany rozdział książki "Dywizjon 303" /

Groteskowość obecnego kataklizmu tkwi zapewne w tym, że najbrutalniejszy instynkt teutońskiego barbarzyństwa podporządkował sobie najwspanialsze wyniki wiedzy i technicznego postępu. Messerschmitt 109 to rzeczywiście wykwit techniki i cacko ludzkiej wynalazczości, ale zaraz obok niego rodzi się w powietrzu jakiś nieprawdopodobny zgrzyt i ponury symbol: bo gdy owe cudo techniki zawodzi i zwykła śmierć zagraża, niemiecki pilot jakby nagle cofał się do jaskiniowego prymitywu, wpadał w mroki puszczy i sięgał do wypróbowanego arsenału irokeskich wojowników: naiwna przebiegłość Indianina miała w tych tarapatach zastąpić wszelkie wyrafinowane zdobycze zbrojnej techniki.

Messerschmitt 109 chciał zaatakować z góry dowódcę polskiego klucza, porucznika Dzidka, ale zaniechał zamiaru, widząc, że podporucznik Jan Donald przychodzi Dzidkowi z pomocą. Więc Niemiec tylko przeleciał ponad Polakami i następnie przed ich nosem zatoczył szeroki skręt, jakby przyglądając się im z bezczelną zuchwałością. Dufny w swą przewagę wysokości i licząc na bliskość innych Messerschmittów, był zbyt pewny siebie i niedoceniał karabinów przeciwnika.

Donald podciągnął trochę swą maszynę i z odległości 250 metrów puścił z wielką poprawką serię pocisków przed Messerschmitta. Dobrze wymierzył. Nieprzyjaciel przeleciał przez pole śmierci. Zadymił i natychmiast, jak złotkowana kuropatwa, wpadł w korkociąg. Leciał beznadziejnie ku ziemi, ofiara swej lekkomyślności.

-Good luck! - pomyślał z humorem Donald i notował sobie w duchu piątego nieprzyjaciela, zestrzelonego w ciągu ostatniego tygodnia.

Myśliwiec dołączył już do dowódcy klucza, gdy rzucił jeszcze jedno przypadkowe spojrzenie w stronę spadającego wroga i - zdębiał. Donald to as myśliwców, ale przytem gorąca, wybuchowa natura: zaklął szpetnie. Tysiąc metrów poniżej, Niemiec, rzekomo stracony, wyprowadził maszynę z korkociągu i leciał dalej normalnie, po prostej linii, co sił uciekając w stronę Francji. Nawet już nie dymił.

- Filutek!

W głosie Donalda była złowróżbna czułość. Nurkując, myśliwiec rozpędził się zajadle i szybko dogonił uciekającego. Gdy Niemiec zauważył pościg, wpadł znowu w korkociąg. Jakiś niepoprawny lubownik korkociągów!

Lecz teraz Donalda nie wykpił. Myśliwiec uczepił się twardo toru Messerschmitta i szedł razem z nim na dół, co chwila prażąc ogniem. Donald nie widział żadnych skutków swych pocisków - trafić w samolot w korkociągu to właściwie przypadek! - i strzelał z coraz większą furją. Zeszli tak z wysokości 6000 metrów na 3000.

Naraz Donald się ocknął i oprzytomniał: toż to głupstwo! Postępując tak dalej, mógł był wystrzelać naboje i nie trafić w ogóle, a przeciwnie, wtedy łatwo stać się samemu łupem nieprzyjaciela. Naiwny pozornie podstęp Niemca był wciąganiem myśliwca w zdradliwą zasadzkę.

Więc Donald przestał strzelać. Szedł za Messerschmittem, nieustępliwy i niemy jak cień, i pilnował. Był teraz bardzo spokojny. Wiedział, że dla Niemca nie ma ucieczki, bo musi albo wyjść z korkociągu, albo rozbić się o ziemię. A skoro wyjdzie z korkociągu...

Dzień był zasadniczo słoneczny, lecz tu i tam, na różnych wysokościach, płynęły kłęby chmur jak białe wyspy. Małe obłoczki unosiły się również kilkaset metrów nad ziemią i gdy myśliwcy spadali w ich pobliże, Messerschmitt wykonał nagle ostry zwrot i wyrwał się z korkociągu. Czy

Czy chciał chwycić się chmur jak ostatniej deski ratunku? Nie ma na to odpowiedzi i nikt nigdy już nie odpowie.

Gdy Messerschmitt wyprostował swój lot, odezwały się natychmiast karabiny Donalda. Na to Niemiec wykręcił niespodzianie beczkę, - jakiś zdumiewający, bezcelowy manewr, często stosowany przez Niemców w chwili niebezpieczeństwa, - aż Donald musiał poderwać maszynę, by się nie zderzyć. Wykonał ostry wywrót przez plecy i zleciał z boku znów na ogon przeciwnika. Niemiec tym razem nie wykazywał już dowcipu ani ochoty do walki. Donald posłał w niego jeszcze kilka serii i dobił go sumiennie, po prostu, jak dobija się wściekłego psa.

Cały w płomieniach, Messerschmitt poszedł w dół już na prawdę, już bez udawania i bez podstępu.

- - -

Był to mały fragment gigantycznej wojny, drobny epizod, jakich legion. Przebiegłość Messerschmitta nie pomogła. Jego podstęp zawiódł.

Gdy kiedyś przyjdzie płacić za potworną zbrodnię barbarzyństwa, dokonywaną dziś na bliźnim człowieku, czy zbrodniarz nie będzie starał się wykiwać od odpowiedzialności jakąś nową przebiegłością? Czy stanie mocnych i bystrych oczu, by dostrzec jego podstęp?

A cała ludzkość, już nie tylko tamci, my także, my sami, wciągnięci przemocą w zbiorowy obłęd, jaką wartością zapłacimy za ten obłęd, za konieczność nienawidzenia? Za tragiczną zabawę w Irokeza? Czy ludzkość ocygani swą własną duszę jeszcze raz, przebiegłością jeszcze prymitywniejszą?

- - -

To chłopcy cudowni, ci z Kościuszkowskiego Dywizjonu 303, zdrowi, jędrni, świeży, przystojni. Nie dziw, że lecą na nich dziewczyny. Bo już się rozniosło: to nie tylko zwycięscy myśliwcy, nie tylko egzotyczni obrońcy angielskiego home'u, lecz i jakieś nieprawdopodobne zuchy, okrutnie cięte na krasę niewieścią. Wiedzą o tym oczarowane dziewczyny z "Orchardu", wiedzą i wykwintne panie z "Berlekey" czy z "Dorchesteru".

Urocza lady Smith-Bingham, matka-opiekunka polskiego dywizjonu, urządziła dla myśliwców cocktail-party w "Dorchesterze". Sprosiła co najpiękniejsze panie z londyńskiego towarzystwa. Przyszły jasne, szlachetne kwiaty, by poznać sławnych lotników. One i oni tańczyli, uśmiechali się, pili szampana, byli weseli, byli szczęśliwi, zakochiwali się. Nie tym kochaniem, które jest brzemienne jak los, lecz tym, które jest jak barwny motyl.

- Ależ to niezrównani tancerze! Teraz rozumiem ich powodzenie u kobiet! - stwierdzał ze sportowym uznaniem zażywny markiz Donegall i choć mówił, że rozumie, po prawdzie - nie rozumiał sedna rzeczy.

Jedna z powabnych ladies, młoda wdówka, po kilku cocktailach straciła angielską powściągliwość i uwzięła się na Donalda. Prawiła mu słodkie, dobre słowa, oceniała dodatnio szerokość jego polskich barek i mówiła mu wesoło:

- I like you , Jan! ...

- A Donaldowi zaświeciły się oczy wilkiem, bo to zbereźnik z nich największy. Wyszeptał:

- I love you, too!...

Lecz potem nagle coś zepsuło angielską sielankę. Z winy Donalda. Ni stąd ni zowąd ostygł. Widocznie wypił za wiele: coś mu się przewidziało. Jakaś zjawa przez mgłę, jakieś dalekie wspomnienie. Ujrzał inne oczy: chabrowe. Ujrzał inne usta: wiśniowe. I był to ktoś inny niż lady. Zosia. A może Jadzia albo Maryśka, chociaż z pewnością była to Zosia. Gdy Donald ujrzał ją nagle oczami duszy, ostygł i już za nic w świecie

nie mógłby pięknej lady powiedzieć zuchwale: I love you.

Bo serce, polskie serce, to dziwna rzecz: może włóczyć się po całym świecie, może upadać na rozdrożach, uzbrajać się w pancerz zapomnienia, upajać się blaskiem obcego nieba, - aż oto znienacka i chytrze zgotuje sobie samemu podstęp i wpadnie we własną sieć. I ujrzy uśmiechniętą z daleka Zosię, albo przytulną strzechę, albo samotną, mazowiecką sosnę.

Inny to będzie podstęp niż podstęp wroga w Messerschmitcie i niż podstęp ludzi nikczemnych, wzajemnie się zwalczających: będzie to uczciwy, rzewny, dobroczynny podstęp ludzkiego serca.

Arkady Fiedler

T i m e b o m b.
Ciąg dalszy.

Powieść.

Po co on nosi ten głupi wąsik? Bez tego wąsika byłby zupełnie możliwy...

-Czy pani zawsze jest taka ożywiona? - zapytał.

-Ja?...Nie...Ja nie wiem, co mi się stało, bo ja po polsku nie mówię tak dużo nigdy nawet, a dziś po angielsku...choć trudno mi, bo cała inteligencja idzie mi na słówka i nic nie zostaje. Chociaż to właściwie łatwy język, tylko że strasznie trudno nim mówić.

-No i co? Niech pani skończy - nalegała dalej Mrs Karfunkel.- Co pani na to wszystko?

Ach, ta głowa! Zapomniała o najważniejszym! O głównym efekcie! Bez tego całe jej opowiadanie nie miało sensu.

-No więc ja..ja, ma się rozumieć, bałam się powiedzieć mu, że jest bydlę i morderca.- Nagle zwróciła się do Degena. -Nie, nie! To nie do pana! To o innym Niemcu - uspokoiła go, bojąc się, że weźmie to do siebie. -Więc tylko powiedziałam mu, że...że jak on mógł...bo że przecie to też człowiek, choć Żydówka.

-No, no? A co on?

-A on: "Żyd to nie człowiek" powiada. Zaraz! To jeszcze nie koniec! -powstrzymała bliską wybuchu Mrs. Karfunkel. -Więc ja do niego, że nie rozumiem, bo że on przecie dobry był nawet dla zwierząt. A on: "Żyd to nie zwierzę" mówi!

- A co?!

-Właśnie! Ja też pytam się go: "A co, jak nie człowiek i nie zwierzę? "Szatan", odpowiedział, "Zło", Przysięgam, że ani na słowo nie kłamię! Patrzę w te głupie oczy i widzę, że wierzy w to co mówi, idiota! - Ruchem ręki zapewniła znowu Degena, że epitet nie odnosił się do niego.

Profesor bębnił przez chwilę palcami po stole.

-Hm...Kochał rośliny i zwierzęta, uratował życie chłopcu, a zabił starą kobietę i nie wstydził się tego - zreasumował jej opowiadanie, zwracając się pytająco do asystenta. Ale Wanda co raz bardziej podniecona, nie dopuściła go do głosu.

-I jedni mówią, że to potwory bez serca - wskazała na Mrs Karfunkel - więc inni nie wierzą i myślą, że to zwyczajni ludzie tacy jak my - wskazała na Mrs. White - a nikt naprawdę nie wie, co w tych Niemcach siedzi. Bo to ani potwory bez serc, ani ludzie z sercami!...

-Tylko co?

-Tylko...-zaczęła z wielkim rozpędem, ale urwała i namyślała się przez chwilę.- Całkiem nie wiadomo co!

-Z tym poglądem zgadzam się w zupełności - odpowiedział poważnie profesor.

-Bo nikt nie może zrozumieć, jak mógł się urodzić taki dziwoląg. Żeby się zrozumiało, toby się wiedziało, jak się do nich zabrać, i jak przemówić do sumienia, i co po wojnie z nimi zrobić, ale tego nikt nie rozumie.

-Nawet pan kolega? - profesor zwrócił się do asystenta. Asystent nie chciał brać udziału w ogólnej rozmowie, więc odpowiedział półgłosem.

-No...to wszystko jest dość dziwne z naszego punktu widzenia,ale nie trudne do wytłumaczenia.

Wanda spojrzała na niego oburzona.

-Akurat! Tego nikt nie wytłumaczy!

-Ja też tak myślę - dodał profesor prowokacyjnie.

Rozdział 8.

Asystent nie miał wcale zamiaru odpowiadać, a zachowanie się profesora uważał za złośliwy żart. Na dworze uspokoiło się trochę, ale nie mogli jeszcze rozejść się do domów, więc profesor chciał bawić się jego kosztem. To jasne. A on wogóle nie umiał mówić do większej ilości ludzi. Gdy zapalił się, zapominał o słuchaczach i nikt nie rozumiał go, a gdy pamiętał o słuchaczach, mieszał się i sam siebie nie rozumiał. Rzadko udało mu się powiedzieć coś jasno i przekonywująco. Dlatego już teraz zlekceważył zaciekawienie Wandy. Zwrócił się do profesora i mówił półgłosem, umyślnie szpikując swą odpowiedź wyrazami technicznemi.

-To jest zagadnienie osobowości. Osobowość powstaje z układów nawyków,a nawyki z odruchów warunkowych. Jeżeli więc stosując odpowiednie stimuli,można sztucznie wytworzyć każdy odruch warunkowy,to każdy nawyk można stworzyć,i każdy układ nawyków, więc i każdą osobowość można ukształtować.

Wanda,wpatrzona w niego słuchała z największą uwagą,ale nic nie zrozumiała.

-Oj,powoli,panie doktorze! - zaprotestowała oburzona.-Bo angielskie jest łatwo, ale jak kto mówi,nic nie można zrozumieć.

-Pan doktór mówi do pana profesora fachowo -zwróciła jej uwagę Miss Violet,zawsze dbała o stosunek pacjentów do doktorów.

-Ja wiem, ale ja też chcę słyszeć.

-Pan doktór o psychologii...

-No to co,że o psychologii?Ja uczyłam się psychologii.

-To jest...tak zwany behavioryzm...Psychologia,która powstała w Ameryce i jest mało znana w Europie -starał się zniechęcić ją asystent.

-Ale ja też chcę zrozumieć - odpowiedziała krótko.

-Bardzo słusznie. To bardzo ciekawa rzecz - poparł ją profesor.

-No, więc jeszcze raz proszę, ale powoli i wyraźnie - zażądała tak kategorycznie,że asystent rad nie rad musiał mówić.

-Jeżeli to panią interesuje...-zaczął z nieszczerym uśmiechem.

-Szalenie!Przecie to wszystkich musi interesować!

Wszyscy byli raczej zdziwieni, ale uprzejmie potakiwali.

-Więc widzi pani...Trudność rozumienia tych rzeczy leży...-Urwał, założył nogę na nogę i zaczął na nowo. - Żeby zrozumieć człowieka, trzeba znać jego przeszłość. Otóż...my wiemy bardzo mało o przeszłości takiego Niemca...Niemcy zastosowali...w wychowaniu młodzieży...właśnie ten behavioryzm...-Znowu przełożył nogi, bo jakoś niewygodnie mu było. -No i...doszli do świetnych wyników...Ale my nie wiemy dokładnie,jakimi drogami wytwarzano te dziwne odruchy i dlatego trudno nam zrozumieć...

-To znaczy,że pan doktór też nie rozumie?

Asystent był tak nieszczęśliwy,że profesor zaczynał żałować swojego żartu.

/Ciąg dalszy nastąpi/

Antoni Gwojdziński